



„Sławicz” – Zbyszek Maliński



„Skorobohaty” – Janek Kukawczyński

Po złożeniu przysięgi byliśmy już członkami organizacji podziemnej, która nazywała się wtedy Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Rozpoczęło się szkolenie. Było nas sześciu:

1. „Sławicz” – Zbyszek Maliński (ppor. poległ w Powstaniu),
2. „Babinicz” – Andrzej Zejdler (KG AK st. sierż.),
3. „Skorobohaty” – Janek Kukawczyński (plut. podch.),
4. .... – Rysio Więckowski (wykluczony z org.),
5. .... – Pieńkowski (odszedł z org.),
6. „Skała” – Makary Zakrzewski (plut. podch.).

Zaczął się. Wpajano w nas zasady wojskowości. To było po prostu nudne i mało efektowne. Podręcznik Dowódcy Plutona, jakieś plansze, rysunki i słowa wykładowcy. Broni nie oglądaliśmy. To były początki konspiracji. Były trudności z dostarczeniem na wykłady czegoś takiego, jak pistolet czy też granat. Na razie musiały nam wystarczyć tylko rysunki i ćwiczenia z „trójkątem błędów”. Nie tego oczekiwaliśmy przecież od konspiracji! Spotykaliśmy się na tych wykładach w mieszkaniu Rysia Więckiego. To była ulica Leszczyńska. Naprzeciwko mieszkał Andrzej Zejdler, obok na Browarnej porucznik „Budrys”, nasz dowódca. I co to była za konspiracja? Wszędzie na drzwiach tabliczki z nazwiskami lokatorów!

Nadszedł wreszcie upragniony dzień! Powierzono nam zadanie. Wyruszyliśmy w wieczór sylwestrowy z małymi, podłużnymi nalepkami w kieszeniach palt. Mieliśmy to rozlepić na murach naszej dzielnicy Powiśle! Poczynając od Mariensztatu, Wybrzeżem Kościuszkowskim, Ludną, Książęcą, włącznie z Placem Trzech Krzyży. Na tych nalepkach był napis „Deutschland verloren an allen Fronten”. Nasz zapal ostudził nie tylko mróz. Ręce grabiły. Palce stawały się sztywne, nalepka nie chciała się trzymać na chropowatym murze. Ulice Ludna i Książęca miały wtedy oświetlenie gazowe. To sprzyjało wprawdzie naszej mozolnej pracy, ale nie zawsze dostrzegało się wychodzącą nagle z mroku postać przechodnia. A myśmy przecież nie wyglądali na zawodowych rozlepiaczy plakatów! Ja nosiłem futro! Wybrnęliśmy jakoś z tego pierwszego zadania. Znalazłem się na Placu Trzech Krzyży zupełnie sam. W kieszeni była jeszcze paczka tych nieszczęsnych nalepek. Zaryzykowałem. Samotnie, bez żadnego ubezpieczenia zalepiłem wszystkie gablotki w bramie teatru przy ulicy Mokotowskiej. Resztę przeznaczyłem na niemiecki lokal w dawnym gimnazjum żeńskim im. Królowej Jadwigi, przy Placu Trzech Krzyży. Tam Niemcy szykowali się do Sylwestra. Ja mogłem spokojnie rozlepić swoje „plakaty”. Ostatnie umieściłem tuż przy wejściu do tego lokalu. Pojechałem do domu. Mieszkałem wtedy przy ulicy Belwederskiej. Rano nie wytrzymałem. Powróciłem na „miejsce przestępstwa”. Gablotki w teatrze były dokładnie oczyszczone. Wyobrażam sobie, jak mnie „cieć” przeklinał! Taka robota trafiła mu się przy Sylwestrze! Natomiast

na gmachach gimnazjum były wszystkie! Nawet te przy wejściu! Niemcy byli chyba ślepi! Tam przecież wyraźnie było napisane, że „Verloren”! Byłem zachwycony swoim wyczynem. Przyznaję, że czekałem, aż któryś z nich zatrzyma się aby sobie poczytać. Ale, niestety, nie doczekałem się tej chwili.

Otrzymaliśmy teraz nowe zadanie, które obecnie nazwalibyśmy długofalowym. Polecono nam wykonać plan naszej dzielnicy i na tym planie zaznaczyć wszystkie niemieckie urzędy, koszary, szpitale, szkoły, posterunki żandarmerii itp. obiekty. Teraz należało przeprowadzić szczegółowy wywiad o tych obiektach. Nanieść nowo powstałe. Napisać możliwie wyczerpujący komentarz do każdego z nich. Była to praca bardzo ciekawa. O takim szpitalu przy ulicy Czerwonego Krzyża mieliśmy na bieżąco informacje od pracowników. Wiadomo było kiedy i ilu rannych przywieziono, jakie mają obrażenia, z jakiego odcinka frontu przybyli. Dokąd udają się na rekonwalescencję. O aptekach dla Niemców wiedzieliśmy skąd otrzymują leki, komu i na jakie recepty są wydawane. Co można kupić bez recepty. Z kim o tym porozmawiać w każdej z aptek. Do szkół i przedszkoli dla dzieci niemieckich mieliśmy też dostęp. Obserwowaliśmy na przykład z jakimi numerami rejestracyjnymi zatrzymują się samochody przywożące te dzieci. Co to jest za instytucja czy też urząd, w którym pracują tatusie? Z jakich dzielnic miasta przybywają?

Wtedy jeszcze nie było dzielnicy niemieckiej. Mieliśmy kontakty z warsztatami naprawczymi samochodów. Ja sam pracowałem wtedy jako pomocnik montera samochodowego w warsztatach przy ulicy Przyokopowej. Remontowaliśmy samochody miejscowych dygnitarzy. Wiadomo było dokąd się udają. Skąd przyjechali. Kierowcy zapominali czasami zabrać ze sobą jakiś zapasowy magazynek do pistoletu, czasami zostawał pistolet w samochodzie. Koledzy uprawiali nagminnie ten „sport”, penetrując po wszystkich zakamarkach samochodu. Stało się to jednak niebezpieczne. Były awantury, lecz wciąż coś komuś znikało! Pracę swoją w tym warsztacie zakończyłem dość efektownie, lecz w połączeniu z dużym ryzykiem (a jeszcze mi nie odrosły włosy po powrocie z Oświęcimia). Mianowicie wypuściłem w trasę samochód z nową wprawdzie osią, lecz nie było tam ani odrobiny smaru! Pod Poznaniem oś pękła, samochód wraz z dygnitarzami wpadł do rowu! Za godzinę w naszym warsztacie było Gestapo! Na szczęście myśmy stale reperowali ich wozy, oni nas znali, majster znał dobrze język niemiecki i jakoś wyklócił się z nimi. Rozładował pierwszy impet. Ja, na wszelki wypadek ukrywałem się przez tydzień. Do tej pracy już nie powróciłem. Cała sprawa jakoś „przycichła”. Powróciłem na „łono rodziny”. Miałem tylko przeprawę z moim Ojcem, bo właścicielem tego warsztatu był jego kolega i dlatego otrzymałem pracę, gdzie dawano pierwszorzędną „Ausweis”. A na okupacyjne stosunki to właśnie było podstawą egzystencji. Rozpocząłem wkrótce pracę w „Drukarni Polskiej”, jako uczeń zecerski, gdzie pracowałem do momentu wybuchu Powstania.